TA KSIĄŻKA NALEŻY DO:

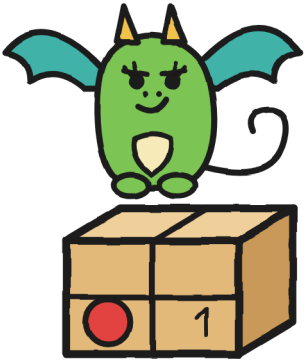
_____

I do nikogo więcej. –].

NIEMOŻLIWE DOSTAWY · 1

Ta paczka gryzie

Lui Eriksson



ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

NIEMOŻLIWE DOSTAWY 1

Ta paczka gryzie

Tekst i ilustracje: Lui Eriksson

Wersja polska: LinguAula

ROZMIAR XL · Powieść ilustrowana · 13+

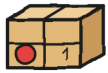
Wydanie pierwsze: 2026

© 2026 Lui Eriksson · info@linguaula.com

Można swobodnie kserować – do klasy i do domu.

Kroje pisma: Andika, Patrick Hand, Caveat i Courier Prime (licencja SIL OFL).

Pracuj nad każdym rozdziałem
na linguaula.com



ROZDZIAŁ 1

Ta, której nie da się doręczyć

Ten zeszyt wypadł z pudła numer 14 z przeprowadzki. Na pudle było napisane KUCHNIA, grubym pisakiem, pismem kogoś, kto się spieszył. W środku nie było ani jednej łyżki: był ten zeszyt, skarpetka i gumowa żaba, która do nikogo nie należy. Pytałem mamę. Pytałem żabę. Nikt się do niej nie przyznaje.

Zeszyt natomiast zająłem ja. Na pierwszej stronie napisałem tytuł wielkimi literami, żeby od początku było jasne:

ZESZYT DOSTAW Guniego. PRYWATNE.

„Prywatne" znaczy, że ja czytam pierwsza. –J.

Tej zielonej notatki tam nie było, kiedy pisałem „prywatne". Żadnej zielonej notatki nie było. Dopisuje je Julita, która w jeden dzień zdążyła nabrać zwyczaju czytania mojego zeszytu przede mną, a czasem nawet zanim ja cokolwiek w nim napiszę. Ale to dopiero później. Idźmy po kolei.



Przyjechaliśmy we wtorek. Dziś jest sobota. Od czterech dni mieszkam w tej dzielnicy i znam już jedną całą ulicę: swoją. Ma sześć domów, a wokół niej same znaki zapytania.

Nikt nie zapytał, czy chcę się przeprowadzać. Zdecydowali dorośli w kuchni, tym głosem, którego używają przy sprawach już przesądzonych, a mama nazwała to „okazją", czyli tak, jak dorośli nazywają to, czego nie da się zwrócić.

Najbardziej zabolało mnie nie to, że zostawiłem swój pokój. Zabolało mnie to, czego dowiedziałem się o sobie samym dopiero w ciężarówce: że nigdy w życiu nie znalazłem sobie przyjaciela. Miałem ich. To nie to samo. W mojej dawnej dzielnicy przyjaciele byli fabryczni: dostawało się ich w wieku trzech lat w piaskownicy, razem z wiaderkiem i łopatką, i nic więcej nie trzeba było robić. Procedury nigdy się nie nauczyłem. W szkole uczą dzielić przez ułamki dziesiętne, ale znajdować przyjaciół nie uczą: zakłada się, że przychodzisz już z nimi.

Zrobiłem więc to, co robię, kiedy czegoś nie umiem: plan.

Mój plan, jak znaleźć przyjaciela:

1. Powiedzieć cześć.
2. Powiedzieć coś ciekawego.
3. ???

Utknąłem na 2; o 3 nie mam zielonego pojęcia. Tkwiłem tak trzy dni. Nie wiedziałem jeszcze, że punkt 3 jest najłatwiejszy z trzech i że zmieści się w trzech słowach.

Mój nowy pokój też nie pomagał. Jest pełen zamkniętych pudeł i nie ma w nim niczego mojego, więc śpię w nim tak, jak się śpi w hotelu: na chwilę, z ubraniami pod ręką. Dlatego tak szybko mnie obudziło to, co dziś rano przeleciało za moim oknem.

To była paczka.

Mówię to dokładnie tak, bo tak właśnie było. Kartonowa paczka wielkości pudełka po butach, z czerwoną pieczątką z boku, przeleciała na wysokości mojego okna, bez pośpiechu, jak ktoś, kto idzie w swoją stronę. Potem przeleciała następna. I jeszcze jedna. Dziewięć paczek rządkiem, jak kaczki, przeleciało nad ulicą i wśliznęło się, jedna za drugą, przez skrzynkę na listy do sklepu naprzeciwko. (Pozostałe jedenaście, jak się później dowiedziałem, wróciło wcześniej, kiedy ja spałem jak suseł.)

Na sklepie wisi szyld: NIEMOŻLIWE DOSTAWY. Pod spodem, mniejszym drukiem: „Dostarczamy to, czego nikt nie dostarcza". A pod tym, jeszcze mniejszym, jakby dopisano to po namyśle: „(Prawie zawsze)".

Miałem już punkt 2: „Widziałem latające paczki".

Nic ciekawego. Zdarza się bez przerwy.

Tę notatkę napisała Julita, dziewczyna, którą poznałem dziś rano w sklepie naprzeciwko. Pisze na zielono, a tego, co pisze na zielono, nie da się zmazać. Sprawdziłem gumką, śliną i rękawem swetra, w tej kolejności. Gumka się zużyła. Zielone — nie.

Włożyłem sweter w paski na piżamę i przeszedłem przez ulicę. W piżamie, to znaczy. W kapciach. Są decyzje, które podejmuje ciało, zanim głowa się zorientuje.



W środku pachniało kartonem i czymś przypalonym, jak po zgaszeniu świeczki. Po lewej stał regał z czerwonym napisem ZWROTY, a na regale dwadzieścia paczek ponumerowanych od 1 do 20, każda ze swoją pieczątką. Przed nim czarownica w fioletowym kapeluszu wskazywała je po kolei. Obok dziewczynka w zielonych ogrodniczkach liczyła je na głos:

— ...osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia.

— Wszystkie wróciły — powiedziała czarownica. — Znowu.

Nikt nie zapytał, kim jestem ani dlaczego mam na sobie piżamę. W sklepie to już coś dziwnego. W tamtym sklepie nie było to nawet najdziwniejsze tego ranka.

Czarownica ma na imię Mara. Prowadzi sklep z niemożliwymi dostawami i ma pieczątkę, która świeci: kiedy ją przybija, sypie iskierkami, a iskierki pachną tym przypalonym zapachem. Julita wytłumaczyła mi, jak to działa, w moim własnym zeszycie, rysunkiem pełnym strzałek, który streszczam tutaj, bo zajmuje pół strony:

- Paczka + pieczątka.
- Czy odbiorca podpisze tuszem, którego nie da się zmazać?

- TAK: DORĘCZONO.
- NIE: o świcie paczka przylatuje z powrotem na swój regał.

Dzięki temu żadna paczka się nie gubi. Ani nie zostaje doręczona.

Te z regału to zwroty: dwadzieścia paczek, których nikomu nigdy nie udało się doręczyć. I wszystkie wysyła ta sama osoba. Na każdej etykiecie, w tym samym miejscu, tym samym ściśniętym pismem, stało: NADAWCA: R.

— Kto to jest R.? — zapytałem.

— Ktoś, kto bardzo brzydko pisze — powiedziała Mara.

I tyle. Powiedziała to tak, jak się mówi zdania powtarzane już wiele razy: nie patrząc na regał, tylko w jakiś punkt na ścianie, w którym nie było nic do oglądania. Julita poruszała ustami razem z nią. Znała tę odpowiedź na pamięć i wydało mi się, że jej też to nie wystarcza.

Mara wrzuciła dziewiętnaście zwrotów do ogromnego worka, takiego, jaki nosi się na ramieniu. Tej nocy miała dostarczyć fortepian do latarni morskiej, daleko stąd, a przy okazji, skoro i tak wychodziła, spróbować jeszcze raz z całą resztą. Wróci o świcie. Powiedziała to bez cienia nadziei, głosem kogoś, kto z przyzwyczajenia podlewa uschnięty kwiatek.

Na regale został tylko jeden. Pierwszy w rzędzie. Numer 1.

— Tej nie da się doręczyć — powiedziała Mara i wydało mi się, że nie mówi tego do nas. — Jest tylko jedna zasada: NIE DOTYKAJCIE REGAŁU.

— Jasne — powiedziała Julita.

Stałem za nią i widziałem skrzyżowane palce za jej plecami. Nic nie powiedziałem. Teraz, kiedy o tym myślę, to było pierwsze, co nas połączyło: sekret trwający dwie sekundy, zanim jeszcze wiedzieliśmy, jak się nazywamy.

Julita spędza w sklepie soboty. Nie zapytałem, kim jest dla Mary: siostrzenicą, pomocnicą, karą. Są pytania, które zadaje się drugiego dnia.

Teraz jest już drugi dzień. Pytaj. –J.



Gdy tylko drzwi się zamknęły, Julita zmierzyła mnie od stóp do głów. Spokojnie. Tak, jak się patrzy na paczkę, żeby zdecydować, czy zasługuje na pieczątkę.

— Umiesz doręczać?

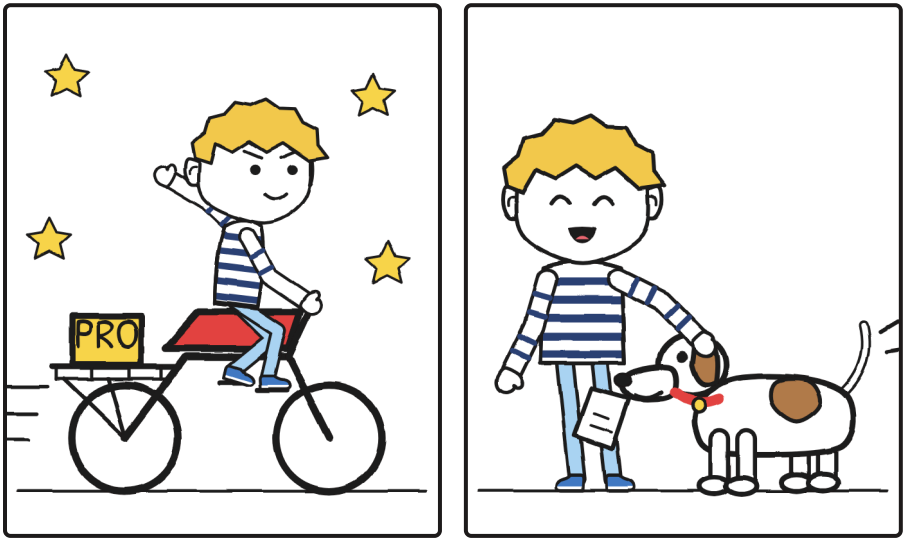
Muszę tu być szczery, bo ten zeszyt jest prywatny, a Julita i tak go przeczyta.

Prawda jest taka, że przez całe życie doręczyłem dokładnie jedną rzecz: gazetę sąsiada z drugiego piętra, w pewną niedzielę, bo leżała na klatce schodowej i wydało mi się, że ktoś musi się

wykazać bohaterstwem. Dałem ją jego psu. Pies ją zjadł. Koniec mojej kariery.

A ja powiedziałem to, co się mówi, kiedy chce się mieć przyjaciela:

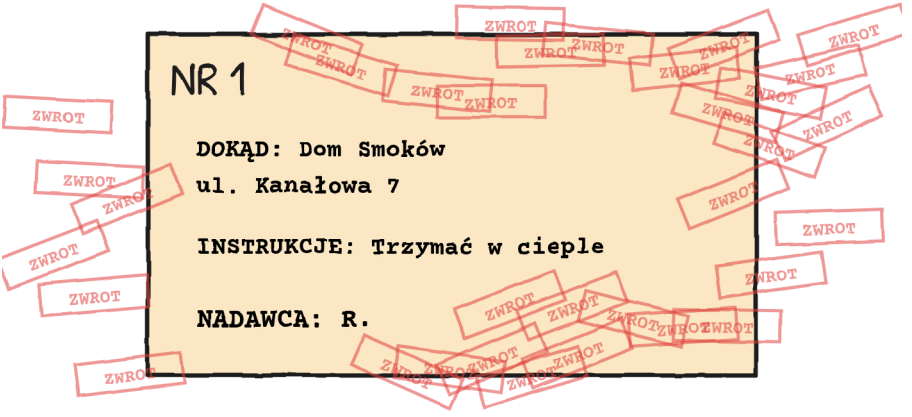
— Tak. W mojej dawnej dzielnicy byłem profesjonalnym kurierem.



Profesjonalista od psów.

Kłamstwo jest jak paczka z pieczątką: odlatuje z wielką godnością, przelatuje nad ulicą, nie dotykając ziemi, i w pewnym momencie wraca. Czego wtedy nie wiedziałem, to kiedy to akurat kłamstwo wróci i kto przeczyta je na głos.

Julita nie żądała dowodów. Poszła prosto do regału i wyjęła jedyną paczkę, która została: numer 1. Tę, której nie da się doręczyć. Trochę drżały jej ręce, ale nie ze strachu, a przynajmniej nie tylko ze strachu: tak drżą ręce komuś, kto przez wiele meczów siedział na ławce rezerwowych, aż wreszcie trener wymówił jego nazwisko. Mnie też drżały, ale ja ukrywałem to lepiej: widać było tylko po tym, że włożyłem sweter tył na przód.



Policzyłem pieczątki ZWROT. Trzydzieści siedem. Etykieta była bardziej pieczątką niż etykietą.

Pod całą tą czerwienią, gdyby kogoś interesowało, stało:

- DOKĄD: Dom Smoków, ulica Kanałowa 7.
- INSTRUKCJE: Trzymać w cieple.
- NADAWCA: R.

— Jeśli doręczymy ją przed świtem — powiedziała Julita — Mara zobaczy, że umiem doręczać zwroty.

— A jeśli nie?

— To wróci sama i nic się nie stało.

Wydało mi się to świetnym planem. Miał dwie rzeczy, które powinien mieć plan: nagrodę, jeśli się uda, i żadnych konsekwencji, jeśli nie. Nie wiedziałem jeszcze, co jest w środku.



Ktoś zadzwonił dzwonkiem rowerowym. Dwa razy, jak ktoś, kto puka do cudzych drzwi. W witrynie pojawił się chłopak w kasku, z żółtym plecakiem, na którym dało się przeczytać od środka: PRZESYŁKI BŁYSKAWICA. W DZIESIĘĆ MINUT ALBO ZA DARMO.

— Niemożliwe Dostawy? — powiedział tonem kogoś, kto ten sam dowcip robił już w inne soboty. — Niemożliwe, żebyście cokolwiek dostarczyli.

Tonio. Superszybko dostarcza supernudne rzeczy.

— A jednak dziś dostarczymy to — powiedziała Julita i uniosła paczkę.

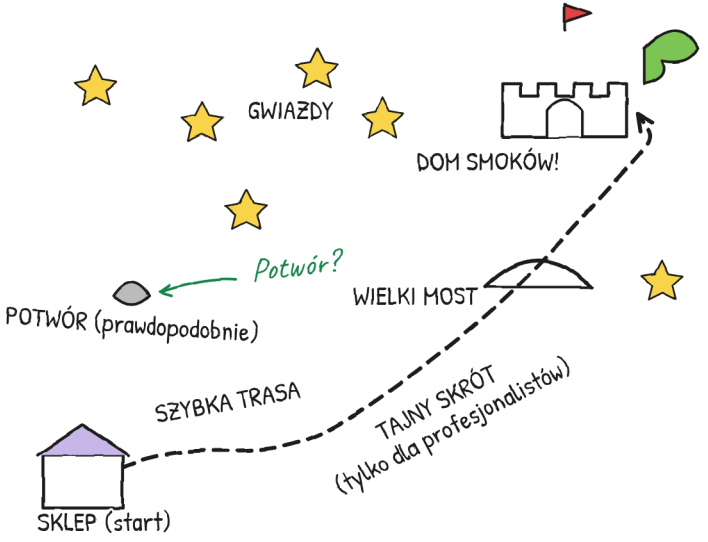
Tonio przeczytał „Dom Smoków” i śmiał się tak, że spadł mu kask. Potoczył się aż pod drzwi. Podniósł go, wciąż się śmiejąc, a kiedy się wyprostował, już się nie śmiał.

— Na ulicy Kanałowej nie ma numeru 7 — powiedział. — Idzie od 5 do 9. Wiem, bo go szukałem.

— A dlaczego go szukałeś? — zapytała Julita.

Tonio włożył kask. Zadzwonił jeszcze raz, bez powodu, i odjechał bardzo szybko, co Tonio robi z pytaniami, na które nie chce odpowiadać. Zostałem z dwiema informacjami: że szukał siódemki i że BŁYSKAWICA nie jest tak szybka we wszystkim.

Narysowałem mapkę dostawy. Profesjonalni kurierzy rysują mapki, a ja, technicznie rzecz biorąc, powiedziałem, że jestem profesjonalistą.



Gwiazdy nie są po drodze.

Na mapce była SZYBKA TRASA, TAJNY SKRÓT (tylko dla profesjonalistów), WIELKI MOST, POTWÓR (prawdopodobnie) i sześć gwiazdek. Gwiazdki nie miały żadnej funkcji. Po prostu wydawało mi się, że mapka bez gwiazdek to żadna poważna mapka.

Potwora też nie ma po drodze. Sprawdziłam. –J.

Prawdziwą drogą, tą bez gwiazdek, przeszliśmy przez Wielki Most. W dzień jest opuszczony i przechodzą nim wszyscy: rowerzyści, panie z wózkami na zakupy, pan z kaczką. Julita szła dokładnie środkiem, mówiąc mi bardzo szybko o pieczątce i o tuszu, ani razu nie patrząc na wodę. Pomyślałem, że pewnie dlatego, że widziała ją już wiele razy. Z kieszeni ogrodniczek wystawała jej klepsydra, którą zabrała z lady. Nie służy do tego, żeby wiedzieć, ile zostało do świtu; tylko do patrzenia, jak sypie się piasek, i denerwowania się. Zrozumiałem, że to ktoś, kto na dostawę zabiera klepsydrę. Spodobało mi się to. Ja zabrałem piżamę.

Ulica Kanałowa 7 nie była domem. Była ścianą.

Tonio miał rację: z 5 przeskakiwało się na 9, a pomiędzy nimi była gładka, jasna ściana, bez drzwi i okien, bez dzwonka. Miała tylko, bardzo nisko, prawie przy ziemi, akurat na wysokości czegoś bardzo małego, mosiężną tabliczkę z dziurką w kształcie łapki. Cztery małe zagłębienia u góry i jedno duże pod spodem, jakby ktoś dawno temu oparł tam coś, a ściana zachowała kształt.

— Może to skrzynka na listy — powiedziałem.

Paczka się nie mieściła. Ani bokiem. Ani rogiem.

Wypróbowaliśmy wszystko, co się próbuje ze ścianą:

1. Pukać. (Nic.)
2. Krzyczeć. (Nic, tylko głośniej.)
3. Zajrzeć górą. Wsiadłem Julicie na barki, a jest silniejsza, niż wygląda, i wychyliłem głowę. Po drugiej stronie była KOLEJNA ściana.
4. Poddać się. To nam wyszło najlepiej.

Z balkonu przyglądała się nam pani podlewająca pelargonie, z konewką zawieszoną w powietrzu, jak ktoś, kto już widział ten film.

— Ta paczka przychodzi od lat — powiedziała. — Zawsze odchodzi tak samo, jak przyszła.

Powiedziała to bez złośliwości, tak jak się podaje prognozę pogody. Potem znów zaczęła podlewać. W tej dzielnicy, zrozumiałem, paczka, której nie da się doręczyć, była po prostu jeszcze jednym zjawiskiem pogodowym.



Było zimno. Zimno świeżo rozpoczętej jesieni, takie, co włazi rękawami. Julita jeszcze raz przeczytała etykietę, półgłosem, jakby mogła się zmienić od ostatniego razu.

— „Trzymać w cieple". A od lat leży na lodowatym regale.

Ja jestem nowy. Kiedy gdzieś jest napisane „trzymać w cieple”, to trzymam w cieple. My, nowi, czytamy instrukcje: to jedyne, co mamy, bo jeszcze nie wiemy, które instrukcje można zignorować. Pozostali tkwią w jednym miejscu tak długo, że już nie czytają; oni wiedzą. A czasem to, co wiedzą, jest nieprawdą.

Wsunąłem paczkę pod sweter, znowu przeszliśmy przez Wielki Most i usiadłem na kratce przy piekarni Elii, tej, przez którą wychodzi powietrze z pieca. Kratka jest przy samej ziemi, przy ścianie, i bije z niej ciepłe powietrze o zapachu chlebowej skórki. Siedziałem tam z wyprostowanymi plecami i paczką przy brzuchu, z całą godnością, jaką może mieć ktoś, kto siedzi na ziemi w piżamie z pudłem pod ubraniem. Julita odwróciła klepsydrę i stanęła obok, pilnując, nic nie mówiąc.

Wyglądasz jak skrzynka na listy w ciąży.

Nic nie mówiąc na głos, to znaczy.

Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę. Pachniało chlebem. Zaczynałem się pocić. Żeby nie myśleć o pocie, rozmawialiśmy; to znaczy ja mówiłem, a Julita odpowiadała tyle, ile trzeba.

— Dlaczego tak ci zależy na doręczeniu akurat tej? — zapytałem. — Jest jeszcze dziewiętnaście.

Odwróciła klepsydrę, zanim przesypał się piasek.

— Bo liczyć to nie to samo, co doręczyć — powiedziała. — Od wielu sobót tylko liczę.

Potem zapytała, jaka była moja dawna dzielnica, i omal nie powiedziałem jej prawdy: że nie pamiętam, żebym cokolwiek tam zrobił, tylko że ją miałem. Że byłem jak ta gumowa żaba: wciąż bez własnego miejsca. Otworzyłem usta, żeby to powiedzieć, i wyszło mi coś innego, coś z motorem i medalami. Skinęła głową, nie patrząc na mnie. Wydało mi się, że już mi nie wierzy. Było jej wszystko jedno. I to było najlepsze z całego ranka.

Wtedy coś lekko stuknęło mnie w brzuch. STUK.

— To był twój brzuch? — zapytała Julita.

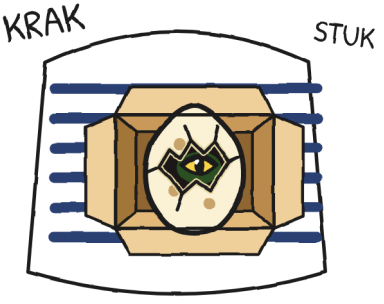
— Mój brzuch nie robi STUK.

STUK. STUK.

Odsunąłem sweter. Pod wiekiem paczki było coś okrągłego i bladego, w plamki, co nie było ani pudełkiem po butach, ani niczym, co sprzedaje się w pudełkach. Miało szczelinę, która rosła, kiedy na nią patrzyłem.

KRAK.

A paczka na mnie spojrzała.



Żółte oko, szeroko otwarte, pośrodku szczeliny. Nie patrzyło na Julitę, która znała się na paczkach. Nie patrzyło na piekarnię, na klepsydrę ani na niebo, skąd o świcie wszystko wraca. Patrzyło na mnie. I po raz pierwszy od czterech dni, w tej dzielnicy domów ze znakami zapytania, ktoś wydawał się całkowicie pewien, kim jestem.

Nikt mnie nie uprzedził, że zdarzają się dostawy, w których to paczka wybiera ciebie.

Przeczytałem to dwa razy. Ja jestem nowy: czytam wszystko. I nigdzie nie było napisane, że nie można czekać na grzmot, siedząc na niebieskim taborecie.

A na dworze zaczynało padać.

Sprawdziłam prognozę pogody. Nadciąga burza. –J.